DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"

Rok 1924 Nr. 7

BYRON.

Niech już me serce bić przestanie.

Niech już me serce bić przestanie,
Kogoż bo jeszcze niem poruszę?
Lecz choć omija mnie kochanie,
Ja kochać muszę.

Dni me to zwiędły liść; owoce
I kwiat miłości szczezły marnie!
Robactwo, rak i cierpień moce —
To mnie ogarnie!

Ogień, co wnętrze me pożera,
Jest niby wulkan gdzieś w pustyni:
To nie pochodnia życia szczera —
Stos się zeń czyni.

Nadzieja, trwoga, zazdrość, szały,
Miłości żar i ból jej głuchy
Dziś już nie dla mnie: pozostały
Li jej łańcuchy.

Ale nie dziś, nie tutaj o tem,
Gdy tam nie jeden już z rycerzy
Czoło swe wieńczy sławy splotem,
Lub w grobie leży.

Chwała i zastęp greckich męży,
Miecz i proporzec — cel dzisiejszy!
Spartanin niesion na pawęży,
Nie był wolniejszy.

Zbudź się — nie Grecja, ta już w boju!
Zbudź się, mój duchu! Myśl, przez kogo
Do ojczystego tęskni zdroju
Krew ma tak błogo!

Te żądz niemęskich zdepc porywy,
Niech raz ja dzień ten już pogrzebię.
Gniew piękna, jego uśmiech żywy
Dziś nie dla ciebie!

Giń, gdy żałujesz swej młodości!
Na polu walki wyrwie z matni
Śmierć cię chwalebna! Tam złóż kości,
Stłum dech ostatni!

Co inni mieli bez szukania,
Szukaj: w żołnierskim tylko grobie
Szukaj posłania, nikt nie wzbrania
Tam spocząć tobie!

przełożył Jan Kasprowicz.

Lord Byron.

W dniu 19 bm. przypadła setna rocznica zgonu Jerzego Byrona, jeżeli nie największego i najgenjalniejszego (jak głoszono powszechnie w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku) to w każdym razie najsławniejszego po Szekspirze poety angielskiego, który zarówno pismami jakoteż stylem życia wywarł ogromny wpływ na kilku pokoleniach pisarzy i marzycieli.

Lord Jerzy Noel-Gordon Byron, wnuk znanego admirała angielskiego z czasów wojny amerykańskiej, urodził się dn. 22 stycznia 1788 r. w Londynie. Otrzymawszy po śmierci stryjecznego dziada jego majątek i tytuły, przeniósł się do rodzinnego zamku Newstead-Abbey. W r. 1805 rozpoczął studja na uniwersytecie w Cambridge; tam wydał pierwszy zbiór poezji, przyjęty nieżyczliwie przez krytykę. W r. 1809 wszedł do izby lordów, ale po krótkim czasie, niechętnie w niej widziany, wrócił do swego zamku, gdzie pędzi bujny żywot, pełen zmysłowych rozkoszy. W tym czasie przedsięwziął większą podróż do Hiszpanji, Portugalji, Grecji i Małej Azji.

W r. 1811 ogłasza dwie pieśni „Child Harolds Pilgrimage", następnie zaś szereg innych utworów: „The Giaour", „The Bride of Abydos", „The Corsair", „Lara", „Parisina", „The Siege of Corinth". Zdobyły one potężne powodzenie, powszechne uwielbienie czytającego ogółu dla poety, sławę nieśmiertelną. W r. 1815 Byron żeni się z Anną Izabelą Milbank Noel, jednak małżeństwo to trwa bardzo krótko, kończąc się rozwodem: dla niewyjaśnionych do dziś dzień powodów, lady Byron porzuca męża, zabierając ze sobą córkę Adę. Wybucha skandal towarzyski, a nastrój opinji publicznej tak ostro jest skierowany przeciwko poecie, że zmuszony on jest opuścić w r. 1816 Anglję, odjeżdżając z niej na zawsze.

Przez Belgję udaje się do Szwajcarji, gdzie, zaprzyjaźniwszy się z Shelleyem, mieszka przez czas jakiś nad jeziorem Genewskim. Następnie wyjeżdża do Włoch. W Szwajcarji i we Włoszech powstają dwie ostatnie pieśni „Childe Harolda", dramatyczny poemat „Manfred", powieści poetyckie „The Prisoner of Chilon", „Mazepa", „Beppo". W Wenecji w r. 1819 zapoznaje się poeta z piękną hrabiną Teresą Guiccioli, z domu hrabianką Gamba, która miała tak wybitną rolę odegrać w jego życiu.

Prześladowania polityczne zmuszają Byrona do opuszczenia, wraz z hrabiną, jej bratem i ojcem, Rawenny. Udaje się do Pizy, następnie zaś do Genui. Z Cefalonji wysyła walczącym o niepodległość Grekom znaczne sumy, w sierpniu zaś r. 1823 sam udaje się do Missolunghi, gdzie wystawia brygadę Suljotów i 500 ludzi własnym utrzymuje kosztem. Zamierza wyruszyć, objąwszy naczelną komendę, przeciw Lepanto. Niestety paroksyzm febry połączonej z inną chorobą powala go na łoże boleści, 19 kwietnia 1824 roku umiera.

MICHALINA SZWARCÓWNA.

Gdy wielkanocne biły dzwony.

Dzwony poczęły bić i rozkołysały powietrze jak olbrzymi, przejrzysty hamak. Jakieś dalekie, chóralne głosy mieszały się z metalicznymi dźwiękami i wspólnie głosiły Zmartwychwstanie w obliczu wiosennego nieba i przeczystego, nieuchwytnego zapachu budzącej się ziemi. Alleluja! Śpiewały na przypomnienie owego dalekiego dnia w dalekiej krainie, gdzie odwalona została grobowa płyta dla ukazania światu płomienistej, wszechobejmującej miłości.

Chory podniósł się na łóżku o własnej sile, by lepiej przyjrzeć się towarzystwu, które w przyległym pokoju dzieliło się właśnie jajkiem śród przytłumionego gwaru towarzyskiej rozmowy. Przywykli przecież, iż od miesięcy leżał w owym pokoju chory człowiek. — Uśmiechnął się do nich teraz. Czuł się tak nadspodziewanie dobrze! A myślał, że już nie doczeka Wielkanocy po dwu latach męki, że nie starczy mu tchu ni sił. Jakże się zdziwi jego drogi przyjaciel, stary, domowy lekarz, będący teraz tam również śród gości, jakże się zdziwi, gdy tu wejdzie za chwilę, gdy nań spojrzy. Wszak wszystko złe przeszło wraz z nadejściem wiosny, czuł jak nowe siły wchodzą w jego ciało, jak szybciej krąży krew, jak pragnienie życia wzmaga się z każdą chwilą niemal. Teraz będzie mógł wreszcie wyjechać na południe i ten wyjazd uzdrowi go zupełnie. Do Meranu wyjedzie — jutro zaraz — jutro! Cieszył się, że jego wyzdrowienie zeszło się wraz z wielkiem świętem, uważał to za cudowny jakiś znak, iż w momencie, gdy zabrzmiały dzwony, zwiastujące Zmartwychwstanie Pańskie, jemu nagle wróciło zdrowie.

Usta same złożyły się do modlitwy, dziękczynne pobiegło w górę spojrzenie. Alleluja! szeptał rozrzewniony — Alleluja!

Do pokoju weszły w tej chwili matka i siostra. Za niemi wolnym krokiem zdążał lekarz. Chory powitał ich uśmiechem, wyciągając do nich dłonie.

— Dobrze, że jesteście. Tak już was chciałem widzieć.

Zdziwiona jego ożywioną twarzą podbiegła matka.

— Lepiej ci? spytała poprawiając troskliwie poduszki.

— Tak dobrze, jak już dawno nie było. Zdaje mi się, że mógłbym wstać. Doktorze, przyjacielu, pan pozwoli prawda? — Tak długo byłem przykuty do łóżka.

Lekarz usiadł tuż przy nim i wziął rękę chorego. Nikt z otaczających z tej twarzy nic nie mógł wyczytać.

— Owszem, wstaniesz może jutro na godzinę, na dwie. Jest lepiej, znacznie lepiej, dodał, widząc pytające spojrzenie chorego i matki.

— Tyle spraw zaniedbałem przez czas choroby — jak ja się wogóle zaniedbałem.

— Nadążysz, mój miły. Kto ma, jak ty, dwadzieścia pięć lat, ten ma dosyć jeszcze czasu przed sobą.

Wypieki na twarzy chorego stały się jeszcze żywsze po słowach doktora. Matka i siostra patrzyły uszczęśliwione, uszom nie wierząc. Doktór nie patrzył na nie.

— Cieszysz się matuchno? Ale niech tu wejdą nasi goście, niech się radują razem z nami.

Ależ ... chciała zaprotestować matka, wiedząc, jak męczyły dotąd zawsze rozmowa i widok obcych.

— Niech wejdą! powiedział lekarz, kołysząc swą siwą głowę. Kilka osób weszło, witając się i życząc dosiego roku. Cichy, smutny pokój napełnił się rozmową. Któraś z pań miała pęk kwiatów, które włożyła do wazonu.

— Nie pojmuję, jak mogłem tak żyć dotąd. Trzeba mi rozmowy, ludzi, przyjaciół. Ach! teraz zacznie się nowe życie. Przedewszystkiem teraz będę mógł wyjechać i to jaknajwcześniej. Prawda — doktorze?

— Oczywiście — jaknajwcześniej, uśmiechnął się doktór, biorąc znów rękę chorego, który opadł na poduszki.

Dzwony biły jeszcze a klengar ich cudowny szedł przestworzem. Chory miał ciągle uśmiech na ustach, tylko powieki lekko opadły.

— Jutro wyjadę!

— Myślę, że jutro będziesz mógł wyjechać, potwierdził lekarz, nie spuszczając oczu ze swego pacjenta. Zebrani spojrzeli po sobie, bo chory nagle pobladł, choć nie przestawał się uśmiechać. Matka rzuciła się ku łóżku — lecz lekarz wstrzymał ją tak ostrem spojrzeniem, iż znieruchomiała, jak gdyby oparł nóż o jej serce. Uczyniła się cisza. Pochylony nad chorym, z ręką na jego pulsie mówił doktór:

— Rzeczy już spakowane. Jedziemy razem do Meranu.

— Ach to doskonale, szepnął chory, Jedźmy nareszcie.

— Na dworcu szalony ruch. Ale my mamy zarezerwowany przedział. Wygodnie ci — prawda? Czekaj — poprawię poduszkę. Jedziemy już — przez zieleniejące pola — a nastrój jeszcze dokoła świąteczny. Już jesteśmy na granicy. Powietrze staje się coraz cieplejsze — czujesz?

— Jak ciepło — jak — słońce — grzeje, uśmiechnął się chory.

— Już jesteśmy w Bozen. Pociąg biegnie przez coraz słoneczniejszą okolicę. Niebo takie błękitne.

— Błę — kitne — poruszyły się zbladłe usta.

— Widzisz, życzenie twoje już się spełniło — jeszcze jedna stacja — zaraz będziemy w Meranie — drzewa tu już kwitną — liście ich tak są lśniące.

— Jak pachną kwiaty — jak ciepło.

— Już — już dojeżdżamy do Meranu.

Głowa chorego spadała coraz niżej. Westchnienie uleciało z ust, na których był jeszcze uśmiech — właśnie, gdy dojechali do Meranu — serce przestało bić.

Dzwony jeszcze dzwoniły i bezmierne hosanna zdawało się płynąć powietrzem...

Wielkanoc na Mazurach.

W Wielką Sobotę po południu chłopcy wioskowi zbierają się na cmentarzu dokoła dzwonnicy, aby natychmiast po zachodzie słońca rozpocząć „barowanie", aby tem samem, czyli głosem dzwonu oznajmić mieszkańcom wioski, że należy zakończyć pracę, albowiem wigilja Wielkiejnocy się zbliża.

Przy pierwszem uderzeniu dzwonu gospodarze zwalniają swych parobków, gosposie zaś, które pozastawiały wszyskie stoły rozmaitemi kolaczami, ciastami i pieczeniami cieszą się, że im się wszystko „zdarzyło", co ma być wielką wróżbą szczęśliwych świąt.

W noc Zmartwychwstania pono woda w naczyniach kuchennych i butelkach zamienia się w wino, płynąca zaś woda zyskuje cudowną, uzdrawiającą własność, albowiem złe duchy bezsilne są w tej świętej porze. To też w ciemnościach, aby nie być widzianymi, dążą Mazurzy do rzeki i strumieni śpiewając pobożne pieśni, z których najulubieńszą jest pieśń kościelna, która brzmi: „Wstań do chwały duchu mój, wstań, bądź zachęcony..." Cudowną wodą napełniają garnki i konwie, w razie zaś choroby oczu i wyrzutów czy też innych dolegliwości myją się lub pryskają wodą. Niejeden chory, któremu lekarze pomóc nie zdołali ozdrowiał w Wielką Noc.

Mazur wierzy, że słońce, wschodząc na Zmartwychwstanie, cieszy się ze zbawienia świata, a z radości podskakuje, niby baranek wielkanocny. Z pobożnem zaciekawieniem oczekują mieszkańcy wiosek mazurskich tego osobliwego zjawiska, witają je, padając na kolana ze słowami modlitwy Pańskiej na ustach.

Po powrocie do domu skrapia gospodarz wodą, przyniesioną z rzeki, członków swej rodziny, a także czeladź i domowników, albowiem to sprowadza błogosławieństwo, a leniwych odmienia tak dalece, że stają się pracowitymi.

Po śniadaniu udaje się Mazur z rodziną do pobliskiej świątnicy, aby tam modlitwą gorącą i gromkim serdecznym śpiewem chwalić Przedwiecznego. Mało kto tak kocha śpiew, a w szczególności piękny śpiew kościelny jak Mazur.

W drugi dzień Świąt Wielkiejnocy jest w zwyczaju śmigus. Rózga wielkanocna ma swoje szczególne znaczenie. Dziecku, które idzie śmigusować, odbiera się przez ręcznik gałązkę, którą się przechowuje, a potem wygania bydło, po raz pierwszy na pastwisko idące. Chłopcy oblewają dziewczęta wodą; która najbardziej oblaną została, mieć będzie szczęście przez cały rok. To też, rzecz oczywista, wody nie żałują. Dziewczęta ofiarowują chłopcom jakoby zapłatę — w postaci malowanych jajek czyli pisanek.

W ogóle ten zwyczaj prasłowiański dzielenia się i rozdawania jaj w czasie świąt zmartwychwstania wielce jest powszechniony. Pewną liczbę jaj otrzymuje każdy z czeladzi od swego chlebodawcy, otrzymują także i dzieci, które, chodząc w drugi dzień świąt po domach „z majem", śpiewają stare piosenki, z pomiędzy których najpopularniejszą brzmi:

„Stoim pod ścianeczką,
prosim o jajeczko,
czy nam dacie,
czy nie dacie,
czy żelazne serce macie?".

Spędziwszy święta wielkanocne na modłę praojców swoich, powraca gospodarz mazurski niebawem do pracy na roli, która trwa do Zielonych Świątek, kiedy to oczekuje deszczu ciepłego, majowego, bowiem wedle przysłowia — „Mokre Świątki, tłuste Gody" — czyli urodzaj i dostatek w porze zimowej.

Z dziejów Polski.

Mieczysław III, Kazimierz Odnowiciel i Bolesław II Śmiały.

Miała Polska o co płakać i miał się czem trapić Mieczysław II, syn i następca Bolesława, choć mężny był i zdatny do rządów. Zgon wielkiego króla rozzuchwalił sąsiadów, ze wszech stron gotowały się napaści, a w kraju bracia królewscy, wyposażeni dzielnicami, wichrzyli i spiskowali; najzawziętszy był przyrodni Mieszka, Bezprym. Wygnał ich z kraju Mieczysław, uciekli na Ruś, do Kijowa, i dalejże w. księcia Jarosława podjudzać na Polskę.

Mieczysław szedł śladami rodzica, dbał o wojsko liczne, o pełny skarb i nowe biskupstwa zakładał. Sam nawet był uczony, księgi łacińskie czytał i roztropności mu nie brakowało. Z małżonki Rychezy, krewniaczki cesarskiej, miał dwóch synów, Bolesława i Kazimierza. Iżby kiedyś młodszy nie wydzierał starszemu korony, król przezornie do stanu duchownego przeznaczył Kazimierza i pacholęciem oddał go do klasztoru.

Zbroił się Mieszko do wojen, które z dwóch stron zagrażały mu naraz. Jakoż węgierski król Stefan Słowaczyznę podkarpacką najechał, a cesarz Konrad II z wielką siłą wyprawił się do Polski. Rad nie rad, Mieczysław odstąpić musiał Węgrom Słowaczyznę, przymierze zawarł ze Stefanem i na czele wszystkich wojsk rzucił się przeciw Niemcom, klęskę zadał im srogą i wziął w niewolę dziesięć tysięcy jeńców. Niedość tego, wpadł na ziemie niemieckie i ciężko pomścił się na cesarzu. Gdy zajęty był wojną z Konradem, Czesi chyłkiem oderwali Morawy od Polski. Zewsząd naraz walą się na Mieczysława nieprzyjaciele: w jednym roku zagrabił cesarz Miśnię i Łużyce, Duńczycy Pomorze zajęli, a kijowski Jarosław, za podmową Bezpryma, przywłaszczył sobie grody Czerwieńskie. Po stracie sześciu ziem, podbitych szczerbcem Chrobrego, Mieczysław ugiął się przed cesarzem, aby od zagłady ocalić resztę państwa. On, koronowany król polski, musiał uznać się lennikiem Niemiec. Konrad II podzielił Polskę na trzy części, między Mieczysława i braci; następca Chrobrego — dzielnicowem książątkiem! Ale za wygraną jeszcze nie dawał, podźwignął się niebawem i połączył rozdarte królestwo. Po tylu jednak nieszczęściach duch się w nim złamał i Mieszko dokonał żywota w obłędzie.

Teraz klęski posypały się jedna po drugiej. Rządy objął starszy syn królewski, Bolesław. Zawierucha krwawa, która wtedy wybuchła w całym kraju, zatarła wszelki wyraźny ślad jego panowania. Wiadomo tylko, że niedołężnie i okrutnie rządził i że w niedługim czasie nędznie skończył śmiercią jakąś gwałtowną. Zamęt rozpętał się okropny; stare pogaństwo głowę podniosło, półdzikie tłuszcze niewolnego ludu powróciły do bałwochwalstwa i bunt owej czerni obrócił się przeciw duchowieństwu i szlachcie. W ogniu stanął kraj cały, gruzem legły miasta, kościoły i grody. Rozprzęgało się państwo piastowskie, w ludziach odżyła pamięć dawnej odrębności plemiennej: Masław, niegdyś podczaszy króla Mieczysława, teraz ogłasza się niezawisłym księciem na Mazowszu. Na zachodzie Czesi pod królem Brzetysławem pustoszą Śląsk, palą i łupią Wrocław, Kraków, Gniezno i porywają ciało św. Wojciecha ze wszystkimi skarbami katedry gnieźnieńskiej. Przechowała się jednak wiadomość, że księża ukryli szczątki św. Wojciecha i zwłoki jakieś inne popdsunęli najeźdźcom, którzy wrócili do domu, wioząc na setkach wozów niezmierne łupy i pędząc w niewolę tłumy ludu niezliczone.

Przed nawałnicą, która się przewalała po ziemiach polskich, uszedł królewicz Kazimierz z klasztoru swego naprzód na Węgry do króla Stefana, potem do Niemiec, gdzie była matka jego Rycheza, która zdołała nawet uwieźć koronę polską, żeby się nie stała łupem nieprzyjaciół. Jedyny żyjący Piast, Kazimierz, był zupełnie zdany na łaskę i niełaskę cesarza: z jego tylko poparciem objąć mógł rządy w Polsce wyniszczonej i uszczuplonej. Konrad II dał mu hufiec 500 zbrojnych, ale pod warunkiem, że Kazimierz Polską władać będzie już nie jako pan udzielny, lecz jako lennik cesarski. Królewicz nie miał wyboru i przystał na wszystko.

Gdy wjeżdżał na ziemie polskie wnuk Bolesława Chrobrego, jedyna latorośl piastowskiego rodu, wezbrały otuchą i nadzieją serca ludności chrześcijańskiej, tłumne rzesze garnęły się ku niemu z radosnem witaniem; nad gruzy miast, nad pogorzeliska siół wzbijała się pieśń radosna:

A witaj-że nam, witaj, hospodynie miły!

Około prawowitego pana skupiła się dawna drużyna królewska, niebawem zaś pozyskał sobie Kazimierz wiernego sprzymierzeńca w kijowskim w. księciu Jarosławie, córkę jego pojąwszy za żonę. O zagarnięte grody Czerwieńskie nie mógł się Kazimierz upominać, ale zato przy pomocy ruskich posiłków ruszył na podbój Mazowsza, gdzie panoszył się Masław, popierany przez Pomorzan. Pomimo przewagi nieprzyjaciela, Kazimierz odniósł walne zwycięstwo. Pobity Masław uciekł do Pomorzan, ale rozjątrzeni jego klęską powiedzieli mu: „Wysoko sięgałeś, to też i skończysz wysoko!“ I powiesili go na wysokiem drzewie.

Niebawem udało się Kazimierzowi na nowo odzyskać i Śląsk na Brzetysławie czeskim. Złączony na nowo w swym ręku najważniejsze ziemie polskie, te same, nad któremi panował pradziad jego, Mieczysław I, musiał tak samo jak tamten hołdować niemieckiemu cesarzowi, tak samo jak tamten chrześcijaństwo szczepić, a Kościół polski na nowo powoływać do życia: biskupstwa zniknęły po większej części, arcybiskupstwo gnieźnieńskie przestało istnieć, duchowni wymordowani, zakony wytępione, kościoły zrównane z ziemią. Z upadku wszystko dźwignąć, odradzać, odbudowywać, to było zadanie ogromne, któremu Kazimierz poświęcił całe życie. Dzieła dokonał i swemu następcy przekazał państwo z rozbicia ocalone, niewielkie wprawdzie i hołdownicze, ale rządne i dobrze zagospodarowane; słusznie mu też potomność dała chlubny przydomek Odnowiciela.

W pradziada Chrobrego wdał się starszy syn Odnowiciela, piętnastoletni młodzieniaszek w chwili objęcia rządów. Bystry, dzielny, do miecza skory, hojny i wspaniały, miał młody pan jedną nieszczęśliwą wadę, zapalczywość bez granic i miary, kiedy gniewem rozgorzał, i to go wkońcu do upadku przywiodło. Młodszy, Władysław Herman, w niczem nie był do brata podobny: chorowity, niedołężny, do rządów niezdatny, patrzał okiem zawistnem na starszego, zazdroszcząc mu panowania i domagał się dla siebie dzielnicy. Wyznaczył mu Bolesław Mazowsze z siedzibą w Płocku nad Wisłą, lecz i tem sobie nie przejednał zazdrośnika.

A miał mu czego Władysław zazdrościć; Bolesław piastowskiemu państwu przywracał znaczenie, potęgę i majestat mocarszy. Brat króla czeskiego Jaromir i wygnany z Węgier Bela przyszli pomocy szukać u polskiego władcy. Zwycięskim pochodem Belę wprowadził na tron i kazał go koronować, a przytem odzyskał od Węgier ziemię spiską pod Tatrami, część tej Słowaczyzny, którą niegdyś Chrobry w całości posiadał. Potem zajął się sprawami czeskiemi: Jaromira pogodził z bratem jego Władysławem II, a chcąc w Czechach polski wpływ utrwalić, dał Władysławowi swoją siostrę w małżeństwo.

Wrychle staje przed walecznym Bolesławem i o pomoc go błaga inny wygnaniec, w. książę kijowski, Izasław. Śladem Chrobrego pradziada, Bolesław jak orzeł spada na Ruś, Kijów zdobywa, Izasława sadza na tronie. Przez dziesięć miesięcy gościł polski władca razem ze swojem rycerstwem w zdobytej stolicy ruskiej, bawił się, biesiadował, zbytkował. Szczęście zawróciło mu w głowie: uniesiony pychą, na każdym kroku poniżał Izasława, dając mu czuć, że panowanie odzyskał tylko z jego, Bolesława łaski. Polacy przy swoim królu postępowali sobie jak w kraju podbitym, dopuszczali się łupiestw, gwałtów i zniewag, on zaś nie poskramiał w niczem rozkiełznanego wojactwa. Goście polscy już obmierzli Rusinom, ukradkiem tedy zaczęli mordować Bolesławowych ludzi, gdzie którego dopadli. Niektórzy z rycerstwa, zniechęceni, opuszczali swego pana, chyłkiem uchodząc do domu. Wkońcu i Bolesław z całem wojskiem wybrał się do Polski, a po drodze grody Czerwieńskie zajął i przytaczył na nowo do swojego państwa.

Tymczasem źle działo się w domu. Długa nieobecność króla rozpętała w kraju zło wszelakie. Pogaństwo jeszcze raz wypełzło ze swoich kryjówek, tłuszcze niewolników i naroczników plądrowały i grabiły, a kto chciał, porywał cudze żony i córki, których mężowie i ojcowie dokazywali z królem w Kijowie. Poczciwej niewieście trudno było się ostać bez opieki, a nie wszystkie były jak owa Małgorzata z Zięboćina, co z kilkoma siostrami zamknęła się w niedostępnej wieży, by doczekać mężowskiego powrotu. Inne, zniecierpliwione czekaniem, łamały bezwstydnie wiarę małżeńską i brały sobie nowych mężów. Rycerstwo, powróciwszy z wyprawy kijowskiej, brało srogi odwet na chłopskiej czerni, mściło się bez litości na wiarołomnych żonach. Król nad wszystkimi winowajcami odprawiał sądy niemiłosierne, a już nijakiej miary nie znał w karaniu wojowników, którzy mu z Kijowa zbiegli. Za surowość okrutną strofował go Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski, ale to nie na wiele się zdało. Przywykły do zbytków i uciech w Kijowie, Bolesław pędził życie szumne i rozrzutne, zwłaszcza, że łupów nawiózł mnogo z wyprawy ruskiej. Pochlebcy dawali mu przydomek Szczodrego.

Raz pono, gdy skarbnicy rachowali nieprzebrane bogactwa królewskie, pisarczyk, ubogi kleryk, łakomemi oczyma pożerał stosy złota. Spostrzegł to Bolesław i nędznemu klesze pozwolił tyle zabrać, ile sam zdoła udźwignąć w płaszczu. Ale przedarty płaszcz, wypchany złotem, pękł, a skarby rozsypały się po ziemi. Wszyscy w śmiech, a król własny płaszcz nędzarzowi rzucił, by go sobie napełnił. Nazgarniał tedy łakomiec i naładował takie brzemię, że go złoto swoim ciężarem na śmierć przywaliło.

Władca, który takie posiadał bogactwa i dzielnością ramienia swego królom korony rozdawał, sam dotąd jeszcze polskiej nie przywdział na głowę. A był po temu właśnie czas najsposobniejszy, bo cesarz Henryk IV wdał się wtedy zuchwale z papieżem Grzegorzem VII w zatarg o prawo mianowania biskupów i przewagę władzy świeckiej nad duchowną. To zmaganie się cesarstwa z papiestwem trwało potem jeszcze kilka wieków i napełniło cały świat chrześcijański zamętem i waśniami. Grzegorz VII rzucił na cesarza klątwę kościelną. Była to straszliwa kara: Kościół odmawiał wyklętemu Sakramentów świętych, a nawet i wstępu przez progi świątyni Bożej: każdy, ktoby z nim przestawał lub udzielił mu pomocy, również podpadał pod klątwę. Książęta niemieccy wypowiedzieli Henrykowi posłuszeństwo i podnosili przeciw niemu zbrojne bunty. Popierał ich Bolesław, aby cesarza tem bardziej osłabić, a sam jawnie opowiedział się po stronie papieża. Stronnikowi swojemu Grzegorz VII najchętniej pozwolił na koronację. W sam dzień Bożego Narodzenia 1076 r. arcybiskup gnieźnieński, w asyście piętnastu polskich biskupów, pomazał Bolesława na króla i włożył mu na czoło koronę. Polska była znowu samodzielnem państwem, jak za Chrobrego.

Wskrzeszenie godności królewskiej zasługą było niemałą; casarza i Niemców oburzyło do żywa: lennik stawał się niepodległym panem! Podszczuwał tedy Henryk IV Czechów na Bolesława co mogło być tem groźniejsze, że w kraju zawistny Władysław Herman zawsze był gotów do knowań przeciw starszemu bratu. Wśród szlachty niezadowolonej z twardych rządów Bolesława miał Herman swoje stronnictwo, na którego czele stał możny Sieciech, głowa potężnego rodu Starżów-Toporczyków. Z pomocą czeską chcieli zdrajcy Bolesława strącić, a na tronie posadzić niedołężnego Hermana, któryby rządzić dał sobą Sieciechowi. Ale najgorszym wrogiem królowi była jego własna porywczość, nieposkromiona niczem: ona mu zgotowała upadek.

Zdawałoby się, że Bolesław, jako stronnik papieski, niedawno koronowany przez wszystkich biskupów, będzie w najlepszej zgodzie z duchowieństwem i przy jego poparciu zdusi wszelakie spiski. Tymczasem król niebacznie wytoczył biskupowi krakowskiemu sprawę o majątek, zapisany kościołowi testamentem. Takie majętności wedle prawa kościelnego nie podpadały pod władzę królewską i wolne były od wszelkich ciężarów i podatków. Prawi legenda o świętobliwym Stanisławie biskupie, że w tej sprawie na świadka mocą Bożą wskrzesił z grobu zmarłego rycerza Piotra czy Piotrowina i w całunie śmiertelnym przywiódł go przed sąd królewski. Groza padła na wszystkich, tylko Bolesław nie opamiętał się wcale. Stronę biskupa Szczepanowskiego wzięła cała szlachta, zrażona do króla; stronnictwo Władysława Hermana i Sieciecha, z Czechami spiskujące, rosło z dniem każdym w siłę. Oburzenie wzmogło się jeszcze, gdy Bolesław — sam żonaty — jednemu z rycerzy porwał żonę, imieniem Krysta, i żył z nią w bezecnym związku. Nieustraszony biskup stanął do oczu rozwiązłemu królowi, zgromił go publicznie i zagroził mu karą boską. Bolesław dalej brnął w bezprawiach i rozpuście, aż wkońcu biskup obłożył go klątwą. Zawrzał król gniewem niepohamowanym, ogłosił Stanisława Szczepanowskiego buntownikiem i zdrajcą, który zmawia się z Czechami, z Władysławem Hermanem i Sieciechem przeciwko prawowitemu panu. W odpowiedzi na klątwę, królewski wyrok skazywał biskupa na karę śmierci przez poćwiartowanie, czyli porąbanie w sztuki. Z nieliczną drużyną, która przy nim wytrwała wbrew klątwie, pognał Bolesław jak szalony, by natychmiast wykonać wyrok na biskupie. Z grodu krakowskiego pędzili na Skałkę, gdzie właśnie Stanisław odprawiał mszę św. w kościele św. Michała. Na widok ołtarza potruchleli siepacze; w ostatniej chwili brakło im odwagi do spełnienia królewskich rozkazów. Bolesław rozjuszony bezpamiętnym gniewem, nie wzdrygnął się przed wykonaniem okropnego wyroku: sam rzucił się w szale na biskupa i własną ręką porąbał go w sztuki. Z przed ołtarza, zbluzganego krwią, kazał poćwiartowane zwłoki wynieść i rzucić do pobliskiej sadzawki, jako ciało skazańca, któremu prawo odmawia uroczystego pogrzebu. Stało się to 11 kwietnia 1079 r.

Zapamiętały król zgubił się ostatecznie tą niesłychaną zbrodnią; sam nieszczęśnik przypieczętował swój los krwią męczennika. Papież na całe królestwo polskie rzucił interdykt; zamilkły naraz wszystkie dzwony ustały wszelkie nabożeństwa, zamknęły się wszystkie kościoły, duchowieństwo musiało zaniechać wszelakich posług religijnych. Nad całym krajem wisieć ma ta klęska, póki w nim króluje morderca biskupa, gwałciciel domu Bożego. Naprożno Bolesław usiłował przez cały rok utrzymać się na tronie, odpadli odeń wszyscy, najzuchwalsi, najzatwardzialsi. Na grodzie krakowskim zostawał sam. Zabrał małoletniego syna Mieczysława i pojechał na Węgry, by przytułku szukać u tego króla, któremu niegdyś przywrócił był koronę. Pono z Węgier zagnały go tułacze losy do Rzymu, gdzie wyżebrał od Ojca św. przebacznie swej zbrodni, pono miał potem w Karyntji wstąpić do klasztoru w Osjaku, gdzie w habicie prostego braciszka pełnił najniższe posługi, póki nie dokonał burzliwego żywota w pokucie i skrusze. Dotąd jeszcze w klasztorze osjackim pokazują zakonnicy rzekomy „grobowiec króla Bolesława polskiego, mordercy świętego Stanisława“.

Gorące kraje.

Po obu stronach równika leży przeszło 5000 kilometrów szeroki „pas gorący“. Słońce tu w pewnych porach roku stoi zupełnie nad głowami ludzi (tak, iż nie rzucają oni żadnego cienia), a promienie jego padają prostopadle na ziemię; nawet gdy w innych miesiącach nie dochodzi do zenitu — to w każdym razie stoi blisko zenitu, a promienie jego padają na ziemię prawie prostopadle.

Przy takiem padaniu promieni słonecznych ziemia nagrzewa się najmocniej, to też okolice równika ziemi są najcieplejsze, stanowią tak zwane „gorące kraje“ — nie znające zimy. Średnia temperatura roku wynosi 20°, ciepło dochodzi tam czasem do 40° (Cels.). jest to upał u nas nieznany, u nas temperatura wyjątkowo podnosi się do 30° a średnia temperatura roku jest 7° — 8°.

Ciepłe te krainy, nie znając zimy, mają roślinność zawsze zieloną. Jeśli liście z drzewa spadają, zioła, trawy więdną, to raczej wskutek zbytniego upału i suszy. W gorącym pasie ziemi, jeśli okolica miewa mało deszczu (są tu okolice, gdzie mijają lata całe bez deszczu), roślinność żyć nie może, kraina staje się gorącą, bezwodną, bezludną pustynią skalistą lub piaszczystą.

Jeśli jednak te dobrze ogrzane ziemie mają poddostatkiem wilgoci, roślinność rozwija się bujnie; trawy, zioła i krzewy tworzą zbitą gęstwinę. Rośliny rosną i dojrzewają nadzwyczaj szybko, a przytem dochodzą do olbrzymiej wielkości.

W trawach gorących krain jeździec na koniu skryć się może; bambus, sięgający metrów, jest wyolbrzymiałą trawą. Nasze skrzypy, paprocie tworzą w gorących krajach drzewa olbrzymie, a pewien gatunek pokrzywy ma w Ameryce południowej pień tak gruby, że Indjanie rżną z niego deski.

I świat zwierzęcy pod wpływem ciepła, dzięki obfitości pokarmu dorasta w krainach równikowych niezwykłej wielkości i siły: struś dochodzi 3¹/₃ metrów wysokości, słoń około 100 centnarów wagi, długość węża boa dochodzi 7 metrów i t. p. W wilgoci i gorącu żyją niezliczone ilości gadów i owadów. Owady, ptaki mają barwy kwiatów i drogich kamieni.

Kraje równikowe to kraina słońca, ciepła i barw.